

Opinie

Recepta na kryzys w USA i na świecie



GRZEGORZ W. KOŁODKO

O ile wejść dwa razy do tej samej rzeki się nie da, to dwa razy wdepnąć w to samo bagno można – pisze o reformie podatkowej Trumpa były polski wicepremier ds. gospodarki.

W czasach, kiedy niektórym się wydawało, że neoliberalizm, doprowadzwszy do rozległego kryzysu finansowego i gospodarczego, a w ślad za tym społecznego i politycznego, został już wyrzucony na właściwe dla niego miejsce, czyli na śmietnik historii, znowu podnosi on swój paskudny łeb.

To żadna radość, że w wielu miejscach zdestabilizowanego świata, w których uprzednio zagrzewał miejsca, został wy-

party przez nowy nacjonalizm i populizm, co ciekawe, częściej prawicowy niż lewicowy.

Nie walczy się złem ze złem. Odpowiedzią na jedną głupotę nie może być inna głupota. Mała zatem radość, jeśli neoliberalizm ustępuje nowemu nacjonalizmowi. I tym bardziej trzeba się wysilać, by w miejscach obu tych szkodliwych systemów gospodarczo-politycznych i uprawianej w ich ramach wadliwej polityki ekonomicznej zaproponować coś nowego, postępowego i społecznie atrakcyjnego. Taki charakter ma nowy pragma-

tyzm, o którym pisałem w tekście „Ucieczka do przodu” („Rzeczpospolita”, 4 maja 2017 r.), ale długa jeszcze droga przed nami nim weźmie on górę.

Koszt wielu na korzyść nielicznych

Obecnie, dekadę po wybuchu dewastującego kryzysu, w profesjonalnych kręgach nie budzi wątpliwości, że jego główną przyczyną był neoliberalizm. To ideologia, szkoła ekonomii i wreszcie polityka gospodarcza, które cynicznie żerując na tak wspaniałych ideach liberalizmu, jak wolność, swoboda wyboru i demokracja, prywatna własność, przedsiębiorczość i konkurencyjność, sprzyja wzbogacaniu nielicznych kosztem większości. Służy temu deregulacja gospodarki ustawiająca w pozycji słabszej świat pracy wobec świata kapitału, posunięta na przełomie XX i XXI wieku ad absurdum finansyzacja gospodarki i manipulowanie fiskalną redystrybucją w sposób preferujący bogatsze warstwy społeczeństwa.

Temu służyła głośna reforma podatkowa w USA w 1986 r. za prezydentury Ronalda Reagana. O ile w 1979 r., kiedy kandydował on do władzy, średnia płaca godzinowa wynosiła tam 18,78 dol. (w dolarach z 2008 r.), to w 2008 r., w chwili wybuchu kryzysu mniej, bo 18,52 dol.!

Gdzie się podziały owoce znaczącego wzrostu wydajności pracy i przyrostu dochodu narodowego? Zostały wskutek neoliberalnych praktyk przechwycone przez nielicznych kosztem większości. Potwierdzają to inne fakty, choćby to, że w latach 1970–2010 udział zysków w PKB zwiększył się o prawie 10 pkt proc., udział płac zaś spadł z ponad 53 proc. poniżej 44 proc.

W czasie trzech dekad od roku 1979 do przedkryzysowego 2007 r. dochody netto (po podatkach i transferach budżetowych) 1 proc. najbogatszych Amerykanów zwiększyły się o około 280 proc. A dla najbiedniejszych 20 proc. społeczeństwa wzrosły tylko o ok. 20 proc., a więc z roku na rok poniżej progu odczuwalności społecznej.

Nic dziwnego zatem, że powiększały się nierówności dochodowe. Obecnie są największe w bogatych krajach kapitalistycznych. Najczęściej stosowana ich miara to współczynnik Giniego, który teoretycznie mieści się między zero (gdy każdy otrzymuje taką samą część dochodu) a 1 (ktoś przejmuje cały dochód). W USA wynosi on około 0,4. Dla porównania, w Polsce w tym roku spada poniżej 0,3, a w bardziej egalitarnej Danii

oscyluje wokół 0,25.

Ludzie wychodzą z siebie, potem na ulice

To właśnie narastające nierówności dochodowe i poszerzanie się obszarów wykluczenia społecznego powodowały, że ludzie wychodzili wprost z siebie, a potem na ulice, także okupując słynną Wall Street. Irytująca była nonszalancja części elit politycznych, służących im mediów i „znanych ekonomistów”, którzy winę na narastające wskutek neoliberalnych praktyk, a więc intencjonalnej polityki, rażące nierówności dochodowe i majątkowe usiłowali zrzucić na procesy obiektywne: na obecną fazę rewolucji technologicznej i globalizację.

W ten sposób część złości udało się skierować na obcych: na zagranicę i imigrantów, na Chińczyków i Meksykanów, a gdzie indziej na muzułmanów czy mieszkańców Europy Wschodniej, w tym Polaków. I w rezultacie skierować nastroje przeciw skądinąd nieodwracalnej globalizacji, a częściowo własnemu establishmentowi, niebędącemu bynajmniej bez winy.

To okazało się wodą przynoszącą fale nowego nacjonalizmu, ksenofobii, protekcjonizmu i antyglobalizacyjnych resentymentów. Należałoby z tego wyciągnąć właściwe wnioski, ale niestety nie udaje się. Przynajmniej w USA, we wciąż najsilniejszej gospodarce świata, sprawcy ostatniego globalnego kryzysu.

Oto bowiem w roku przejścia władzy przez Donalda Trumpa popełnia się jeszcze większy błąd niż popełniony przez Reagana. Jeszcze większy, gdyż tym razem lot ómy do ognia rozpoczyna się już po wielkiej nauczce kryzysu ostatnich lat i wszyscy powinni być mądrzejsi. Neoliberalowie też. Niestety, zachłanność typowa dla neoliberalizmu pomieszana z naiwnością typową dla populizmu – a obie te cechy łączy obecny lokator Białego Domu – tworzą toksyczną dla myślenia mieszankę. Okazuje się, że o ile wejść dwa razy do tej samej rzeki się nie da, to dwa razy wdepnąć w to samo bagno można.

I na taką ścieżkę wkraczają Amerykanie, przepychając w swoim Kongresie ustawę podatkową. Przepychając, bo głosując w nocy jednym głosem pokonują opozycyjnych demokratów. Bo udaje im się to poprzez kupowanie za partycularne koncesje własnych kontestujących senatorów. Bo w Izbie Reprezentantów trzeba głosowanie powtarzać, gdyż w wyniku wyścigu z czasem w ustawie znalazły się prawnicze buble. Skąd my to znamy?

Podczas gdy republikanie huczą ze swą propagandą sukcesu, a prezydent Trump wznosi na swym koncie na Twitterze okrzyki „Jobs, Jobs, Jobs!” i pisze, że „To jest do-prawdy sprawa, której rezultaty przemówią same już wkrótce”, demokraci zgodnie oprotestowują przeforsowane zmiany podatkowe, uciekając się nawet to tak drastycznych określeń, jak „napad” czy „oszustwo”. No, może nie napad, bo wszystko zgodnie z prawem i bez łamania konstytucji, ale jakby oszustwo...

Po co to wszystko

Ludzie wyczuwają, co się kroi. Tylko 27 proc. Amerykanów popiera nową ustawę, a aż 52 proc. opowiada się przeciwko wdrażanym rozwiązaniom. Sami potrafią liczyć i bardziej dają wiarę rzeczowym argumentom bezpartyjnych fachowców niż zaangażowanym prorządowym ekspertom i ekonomistom korumpowanym przez neoliberalne lobby.

Podczas gdy ci ostatni zapowiadają istotne przyspieszenie tempa wzrostu gospodarczego wskutek obniżki podatków dla przedsiębiorstw (CIT), niezależne ośrodki – także rządowe, a niektóre z nich są naprawdę znakomite – wyliczają, że dodatkowy wzrost PKB wyniesie śladowe 0,4–0,9 proc. Według analiz Kongresowego Centrum Badawczego redukcja CIT o 10 pkt proc. (ustawa zmniejsza je o 14 pkt, z 35 do 21 proc.) może zwiększyć długookresowe tempo wzrostu zaledwie o 0,15 proc. O co zatem cała ta batalia?

O to, aby inne zmiany, przeprowadzane przy okazji pod-

wynosi ponad 20 bilionów dolarów, przekracza o 7 proc. amerykański PKB (to relatywnie dwa razy tyle, ile w Polsce).

Jest jasne, że w takiej sytuacji Fed, bank centralny USA, będzie bardziej agresywnie podnosił stopy procentowe, co w naturalny sposób osłabić będzie tendencje inwestycyjne i wpłynie na wzrost spowalniająco.

Neoliberalizm 2.0

Demokraci liczą na to, że wprowadzeni przez rządową propagandę w błąd podatnicy, postrzegani przez klasę polityczną jako elektorat, połapią się w tych neoliberalnych manipulacjach i już jesienią 2018 r. zgłoszą tak, że pozabawia republikanów większości w obu izbach parlamentu. Niekoniecznie tak się stanie, bo pakiet podatkowy jest tak skonstruowany, że w najbliższych latach z obniżonych podatków i ulg skorzysta zdecydowana większość podatników, w tym ci z mniej zamożnych, ale liczniejszych warstw.

Te obniżki znikną jednak w 2025 r. i wtedy przyjdzie im zapłacić za niewygasające obniżki dla bogatych. Dodajmy, że będzie już po kolejnych wyborach tak prezydenckich, parlamentarnych, jak i lokalnych.

W sumie, w trakcie całej dekady 2018–2027 późniejsze wyższe podatki, te regulowane w latach 2026–2027, zneutralizują korzyści z lat 2018–2025. Po roku 2025 aż 53 proc. podatników zapłaci fiskusowi więcej, a będą to gospodarstwa domowe z niższych przedziałów podatkowych.

Największymi beneficjentami reformy będą najzamożniejsi i bogate wielonarodowe korporacje

nośnym hasłem zmniejszania podatków dla przedsiębiorstw, wzbogaciły nielicznych kosztem większości. Sam jako wicepremier i minister finansów też radykalnie, ale i sensownie zmniejszałem podatki, w tym CIT, wprost do 32 proc. z 40 proc., z czym zastanawiam się, czy nie sławnym sposobem bez terapii, a później z 28 proc. do obecnych 19 proc. Ale towarzyszyły temu inne zmiany fiskalne sprzyjające zarówno formowaniu kapitału i inwestycjom, jak i trosce o pożądane relacje dochodowe oraz rozwój kapitału ludzkiego. Wzrost przyspieszył, nierówności dochodowe spadły, zadłużenie publiczne na dłuższą metę nie wzrosło.

Nie tak będzie w USA, choć redukcja bardzo wysokiej stawki CIT przy równoczesnej likwidacji wielu ulg psujących system ma swoje zalety. Wzrost istotnie nie przyspieszy, bezrobocie nie spadnie, nierówności wzrosną, zadłużenie się powiększy.

Zdumiewające jest to, z jakim lekceważeniem autorzy i zwolennicy reformy podatkowej podchodzą do nieuniknionego wzrostu deficytu budżetowego i narastającego w ślad za tym i tak już ogromnego długu publicznego. Pomijając apologetów pakietu, panuje w zasadzie zgoda co do tego, że podczas następnych dziesięciu lat dług publiczny zwiększy się aż o 1,5 biliona dolarów (tyle, ile Polacy wytwarzają przez trzy lata). A dług ten już

Bezstronni analitycy obliczyli, że największymi beneficjentami reformy będą najzamożniejsi, bogate wielonarodowe korporacje oraz właściciele komercyjnych nieruchomości. Zaiste trzeba mieć chęć, by po tym, co się stało w ciągu minionych czterech dekad, forsować rozwiązania podatkowe, które wcale nie obniżą podatków dla najuboższych 20 proc. ludności. Bo szacuje się, że do roku 2027 korzyść ta wyniesie 10 dol. na osobę, gdy dla jednego promila najbogatszych aż 278 tys. dol.

Tak oto wciąż niepokonywany pomimo niedawnego kryzysu neoliberalizm skazuje gospodarkę amerykańską na kolejny, jeszcze większy kryzys. To nie tylko sprawa USA, bo choć ich rola w światowej gospodarce sukcesywnie będzie spadać, to nadal odgrywać będą w następnych dekadach główną rolę w światowych finansach. I dlatego za tę kolejną odsłonę neoliberalnych ekscesów zapłać także inni. Nas w Polsce niestety też to nie ominie. Warto pamiętać, komu będziemy to zawdzięczać... ©

Prof. Grzegorz W. Kołodko, najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista, członek Europejskiej Akademii Nauki, Literatury i Sztuki, autor ekonomicznych bestsellerów, wicepremier i minister finansów w latach 1994–1997 i 2002–2003. Wykłada w Akademii Leona Koźmińskiego.